Fredric Brown

Ziemianie przynoszący dary

(Earthmen Bearing Gifts)

Galaxy, June 1960
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain
This text is translation of the shortstory "Earthmen Bearing Gifts" by Fredric Brown, published by Project Gutenberg, September 4, 2008 [EBook #26521]
According to the included copyright notice:
"This story was published in Galaxy magazine, June 1960. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Mars miał wiele rzeczy do oferowania, a Ziemia mogła wiele dać w rewanżu… jeżeli uda się zorganizować dostawę.

Dhar Ry siedział samotnie w swoim pokoju, medytując. Od strony drzwi wejściowych dotarła do niego fala myślowa, równoważna pukaniu, i, spoglądając na drzwi, wyraził życzenie, aby się otworzyły.

Otworzyły się.

– Wejdź, przyjacielu – powiedział.

Mógłby co prawda wysłać tę kwestię telepatycznie, ale jeżeli obecne były tylko dwie osoby, użycie mowy było bardziej uprzejme.

Ejon Khee wszedł do środka.

– Długo siedzisz dzisiejszego wieczora, przywódco – powiedział.

– Tak, Khee. Za niecałą godzinę ma wylądować rakieta z Ziemi, i chciałem ją zobaczyć. Tak, wiem, że wyląduje ona tysiąc mil stąd, jeżeli ich obliczenia są poprawne. Poza horyzontem. Ale nawet gdyby lądowałaby dwa razy dalej, rozbłysk eksplozji atomowej, powinien być dobrze widoczny. A ja od tak dawna czekałem na pierwszy kontakt. Nawet pomimo tego, że w tej rakiecie nie będzie żadnego Ziemianina, to jednak ciągle będzie to pierwszy kontakt –– przynajmniej dla nich. Oczywiście nasze zespoły telepatów odczytywały ich myśli już od wielu stuleci, ale… mimo wszystko będzie to pierwszy *fizyczny* kontakt pomiędzy Marsem i Ziemią.

Khee rozsiadł się swobodnie na jednym z niskich krzeseł.

– To prawda – przyznał. – Chociaż nie śledziłem zbyt dokładnie ostatnich doniesień. Dlaczego oni używają głowicy atomowej? Wiem, że wydaje im się, że nasza planeta jest niezamieszkana, ale jednak…

– Będą obserwować rozbłysk przez swoje teleskopy księżycowe i uzyskają… jak to oni nazywają? – analizę spektroskopową. To powie im więcej, niż wiedzą obecnie (albo raczej myślą, że wiedzą; większość z tego jest błędne) na temat atmosfery naszej planety i składu jej powierzchni. To jest… nazwijmy to strzałem rozpoznawczym, Khee. Pojawią się tu osobiście w przeciągu kilku kolejnych opozycji. A wtedy…

Cały Mars trzymał się tylko, czekając na przybycie Ziemi. Właściwie, dokładniej mówiąc, to co pozostało z Marsa –– to jedyne małe miasteczko, liczące około dziewięciu setek istnień. Cywilizacja Marsa była starsza, niż ta istniejąca na Ziemi, i wymierała. To było wszystko co z niej pozostało: jedno miasto, dziewięciuset ludzi. Czekali aż Ziemia nawiąże kontakt z dwóch powodów: jeden egoistyczny, drugi bezinteresowny.

Cywilizacja marsjańska rozwinęła się w zupełnie innym kierunku, niż ziemska. Nie pozyskała żadnej istotnej wiedzy na temat nauk fizycznych, ani technologii. Ale rozwinęła nauki społeczne do takiego punktu, że na Marsie od pięćdziesięciu tysięcy lat nie było ani jednej zbrodni, nie mówiąc już o wojnie. A ponadto cywilizacja ta w pełni opanowała nauki parapsychologiczne i wiedzę o umyśle, którą Ziemia dopiero zaczęła odkrywać.

Mars mógł nauczyć Ziemię wielu rzeczy. W jaki sposób zlikwidować zbrodnię i wojnę, żeby od czegoś rozpocząć. Poza tymi prostymi rzeczami była jeszcze telepatia, telekineza, empatia…

A Ziemia mogła, jak miał nadzieję Mars, nauczyć ich czegoś nawet bardziej wartościowego: jak, przy pomocy nauki i technologii –– które było już za późno, aby dzisiejszy Mars mógł zdobyć samodzielnie, nawet gdyby Marsjanie mieli umysły takiego typu, że pozwalałyby im one rozwijać tego rodzaju wiedzę –– uczynić ponownie zdatną do życia ich umierającą planetę, tak by ginąca rasa mogła przeżyć i ponownie się rozmnożyć.

Każda z planet znacznie by zyskiwała i nic nie traciła.

I właśnie dzisiaj przypadała noc, kiedy Ziemia miała wykonać swój pierwszy strzał rozpoznawczy. Następny ruch, rakieta z Ziemianami na pokładzie, a przynajmniej chociaż z jednym Ziemianinem, powinien zostać wykonany w trakcie następnej opozycji, czyli za dwa lata ziemskie, albo mniej więcej cztery lata marsjańskie. Marsjanie wiedzieli to, ponieważ ich zespoły telepatów zdołały wyłapać przynajmniej część myśli Ziemian, wystarczająco dużo, aby poznać ich plany. Niestety, na tę odległość, połączenie było jednostronne. Mars nie mógł więc poprosić Ziemi, aby przyśpieszyła swój program. Albo przekazać informacje ziemskim naukowcom na temat atmosfery i składu Marsa, które uczyniłyby ten wstępny strzał zbędnym.

Dzisiejszego wieczora Ry, przywódca (jak niemal dokładnie można przetłumaczyć to marsjańskie słowo) i Khee, jego asystent administracyjny i najbliższy przyjaciel, siedzieli razem i medytowali, dopóki nie zbliżył się czas tego wydarzenia. Potem wypili toast za przyszłość –– przy pomocy napitku opartego na mentolu, który odnosił taki sam efekt w przypadku Marsjan, co alkohol u Ziemian –– a następnie weszli na dach budynku, w którym siedzieli. Spoglądali na północ, gdzie powinna wylądować rakieta. Gwiazdy świeciły wspaniale przez atmosferę, równo, nie migocząc.

W obserwatorium Nr 1 na ziemskim Księżycu, Rog Everett, trzymając oko przy okularze teleskopu obserwacyjnego, tryumfalnie oznajmił:

– Wybuchła doskonale, Willie. A teraz, jak tylko wywołamy filmy, dowiemy się mnóstwa rzeczy na temat Marsa, tej starej planety.

Wyprostował się –– teraz nie było już nic więcej do oglądania –– i wraz z Willim Sangerem, uroczyście uścisnęli sobie dłonie. To była historyczna chwila.

– Mam nadzieję, że nikogo nie zabiliśmy. To jest, żadnych Marsjan. Rog, czy trafiliśmy dokładnie w samo centrum Syrtis Maior?

– Niemal idealnie. Powiedziałbym, że może było to jakieś tysiąc mil od celu, na południe. A to diabelnie blisko, jak na strzał z odległości pięćdziesięciu milionów mil. Willi, czy naprawdę sądzisz, że istnieją jacyś Marsjanie?

Willie pomyślał przez chwilę, a potem odpowiedział:

– Nie.

I miał rację.

KONIEC